

WYSPA KOŚCI



SILVER STAG

A.M. ROSNER

Uczta dla miłośników efektownych
bitew, niebezpiecznych abordaży,
spragnionych zapachu morza
i prochu!

Katarzyna Bonda



SILVER STAG



WYSPA KOŚCI



SILVER STAG



A.M. ROSNER

Copyright © by A.M. Rosner, 2018

Redakcja i korekta: Maciej Robert
Korekta po składzie: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Marcin Głowacki

Skład i łamanie: Piotr Molski

Druk i oprawa: Drukarnia Read Me
www.rm.com.pl/drukarnia

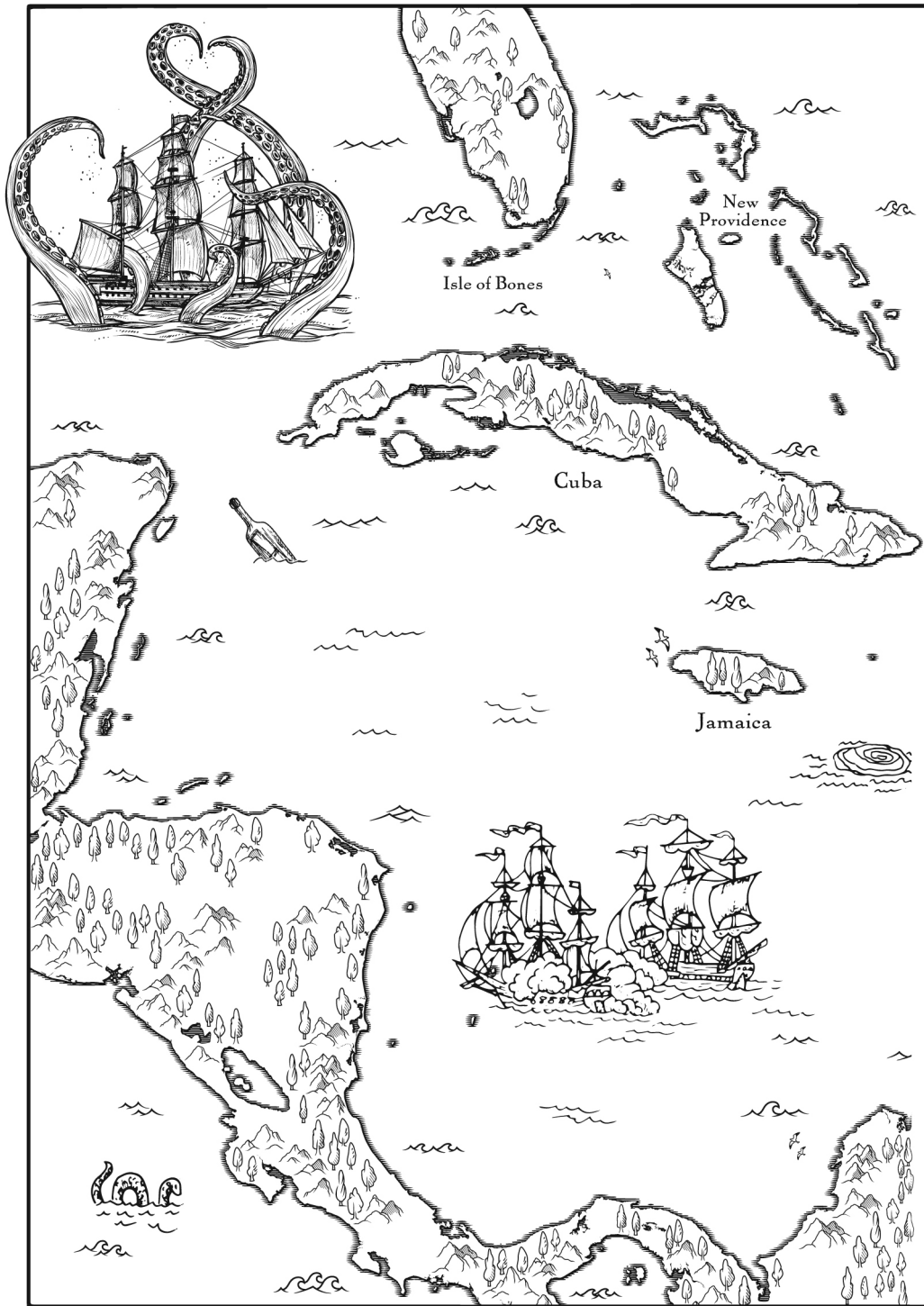
Wydanie I
Warszawa 2018

Wydawnictwo Magnus
Seria wydawnicza: Ciepło/Zimno
cieplo-zimno.pl

ISBN: 978-83-950536-8-9
ISBN EPUB, MOBI, PDF: 978-83-950536-9-6

Wszelkie prawa zastrzeżone

Ojcu – Paszczakowi



SILVER STAG



captain Timothy Cuthrow
cartographer Barry Clarke



Colonies of the New World
ad 1715



Tortuga



Hispaniola



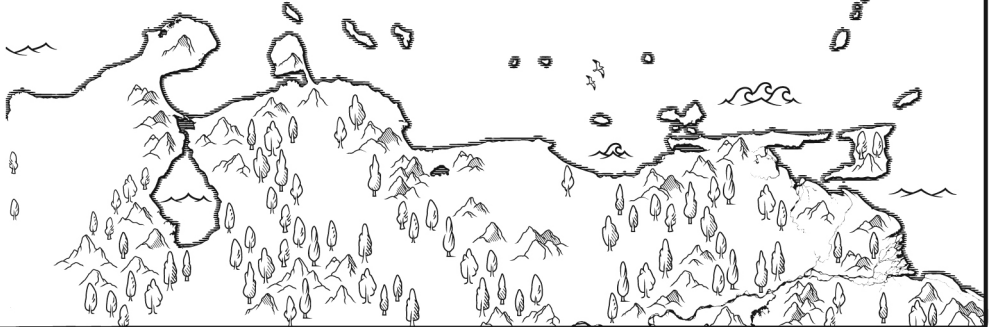
Puerto Rico



St. Kitts

Nevis

Antigua



Spis treści

Streszczenie

Silver Stag. Republika piratów. 11

Rozdział I

13 lipca 1715 roku, sobota. 15

Rozdział II

14 lipca 1715 roku, niedziela 45

Rozdział III

17 lipca 1715 roku, środa 91

Rozdział IV

19 lipca 1715 roku, piątek 132

Rozdział V

21 lipca 1715 roku, niedziela 173

Rozdział VI

23 lipca 1715 roku, wtorek 211

Rozdział VII	
24 lipca 1715 roku, środa	244
Rozdział VIII	
26 lipca 1715 roku, piątek	275
Rozdział IX	
28 lipca 1715 roku, niedziela	320
Rozdział X	
30 lipca 1715 roku, wtorek	355
Rozdział XI	
30 lipca 1715 roku, wtorek	400
Rozdział XII	
31 lipca 1715 roku, środa	433
Rozdział XIII	
2 sierpnia 1715 roku, piątek.	462
Rozdział XIV	
4 sierpnia 1715 roku, niedziela	494
Epilog	528

STRESZCZENIE

Silver Stag. Republika piratów

Kapitan Timothy Cuthrow, korsarz działający na zlecenie brytyjskiej korony i wykonujący rozkazy komodora Jonathana Wilsona, zostaje oskarżony o celowe zatopienie statku, który miał ochraniać. Aresztowany, osądzony i skazany na śmierć, czeka w celi na nadejście dnia egzekucji. Wraz z Jacobem ibn Adamem (zwanym przez Anglików panem Adamsem) na kilka godzin przed powieszeniem zostaje wypuszczony z celi przez wicegubernatora Daniela Smitha, człowieka wierzącego, że zarzuty zostały wyolbrzymione, dowody sfabrykowane, a świadkowie przekupieni. Cuthrow początkowo pragnie oczyścić swe imię, z czasem, kiedy zaczyna rozumieć, że nie będzie to takie proste, zaczyna dążyć wyłącznie do zemsty na komodorze. Udaje mu się przedostać przez miasto i dotrzeć do ukrytego w niewielkiej zatoce okrętu, którym dowodził – *Silver Stag*. By ratować znajdującą się pod jego rozkazami załogę (której członkowie tak jak i on zawisłiby na szubienicy), kapitan postanawia uciec do Nassau na wyspie New Providence, miasta opanowanego przez piratów, gdzie ma nadzieję zaplanować zemstę na byłym przełożonym.

Benjamin Wilson, syn komodora oddelegowany przez ojca na Jamajkę, dowiaduje się o aresztowaniu i ucieczce z celi kapitana Cuthrowa. Postanawia odmówić wykonania rozkazu i rusza na poszukiwanie zbiega. Za to zostaje aresztowany przez Roberta Wattsa, szpiega umieszczonego na pokładzie jego fregaty przez nieufnego komodora. Benjamin, odesłany na Antiguę, wyspę stanowiącą bramę Nowego Świata i siedzibę angielskiego gubernatora Wysp Podwietrznych, zostaje pozbawiony okrętu i poinformowany o tym, że jego ojciec wyraził zgodę, by ten ożenił

się z córką gubernatora. Nie jest zainteresowany ożenkiem, nie tyle z Augustą, atrakcyjną marzycielką, co w ogóle. Używając podstępny, przekonuje gubernatora, by ten pozwolił mu dołączyć do pościgu i spróbować pojmać Timothy'ego Cuthrowa. Jako jedyny wie, że komodor sfingował proces, by pozbyć się kapitana, jego wieloletniego kochanka, a zatopienie statku kupieckiego, o którego oskarżono mężczyznę, nie ma tu nic do rzeczy. Ma też świadomość tego, że w świetle prawa obaj powinni zapłacić za romans życiem. Nie chcąc żyć bez Timothy'ego, postanawia bodajże pierwszy raz w życiu przeciwstawić się wpływowemu i surowemu ojcu.

W tym samym czasie załodze *Silver Stag* udaje się przedostać do Nassau. Nie obywa się jednak bez trudności – wśród niezadowolonej z obrotu spraw załogi dochodzi do podziałów. Wybuch bunt i tylko dzięki sprytowi pana Adamsa kapitan Cuthrow nie traci dowództwa. Przez cały czas musi jednak uważać na spiskowców, którzy próbują przejąć sprawy w swoje ręce, uważając, że kapitan zdradził swoich ludzi. Adams, człowiek niezwiązany z żeglugą, zostaje nieoficjalną prawą ręką Cuthrowa.

Nassau nie okazuje się przedsiönkiem piekieł, jak zwykli obrazować to miasto przedstawiciele angielskiej admiralicji, lecz siedliskiem wolnych, przedsiębiorczych i uzbrojonych po zęby ludzi. Fortem zarządza Benjamin Hornigold, skonfliktowany z wieloma innymi piratami samozwańczy gubernator. Jego opozycję stanowią Henry Jennings i Edward England. Po krótkim namyśle to do ich frakcji przystępuje Cuthrow. Na wyspie poznaje też Mary Rose – właścicielkę dobrze prosperującego lupanaru, która darzy Hornigolda najgorszymi uczuciami. Postanawia uwieść ją głównie po to, by zyskać na miejscu sprzymierzeńców oraz oddalić od siebie wszelkie plotki i podejrzenia, jakie mogłyby pojawić się w związku z Benjaminem. Z czasem jednak zakochuje się w niej.

Benjamin Wilson w swoim pierwszym rejsie w poszukiwaniu zbiega natyka się na piracki okręt. Zamiast zaatakować, ku przerażeniu oficerów, wybiera rozmowę. Rozpoznaje w napotkanym człowieku Edwarda Englanda i tłumacząc swym ludziom, że męż-

czyzna jest przekupny i z pewnością sprzeda informacje o miejscu pobytu Cuthrowa, przechodzi na jego pokład, by porozmawiać. Tam oddaje się w ręce pirackiego kapitana, prosząc, by ten zabrał go do Nassau. W zamian (i w dowód dobrej woli) oferuje podzielenie się planami admiralicji i informacjami o zamierzeniach komodora na najbliższe tygodnie. England, choć zaskoczony i nie do końca przekonany co do prawdziwości chęci przejścia syna dowódcy floty na stronę piratów, przystaje na jego propozycję. Początkowo rozważa zażądanie za jego głowę okupu od gubernatora, potem jednak postanawia dotrzymać słowa. Informuje załogę, którą Wilson dowodził, że porywa go dla okupu, podczas gdy w rzeczywistości zabiera go na New Providence.

Kapitan Cuthrow, powiadomiony przez jednego z piratów o tym, że komodor Jonathan Wilson będzie bawił niedaleko Nassau na ślubie córki swojego przyjaciela, postanawia skorzystać z okazji i rozprawić się z wrogiem raz na zawsze. Organizuje wyprawę i napaść na plantację, na której odbywa się uroczystość. Jego załodze udaje się przedostać na miejsce i pozostać niezauważoną. Kapitan staje do pojedynku ze swoim dawnym przełożonym. Pokonuje komodora, samemu zostając ciężko rannym. Konającemu przyznaje, że z Benjaminem łączy go długi związek, a Wilson wyznaje, że zaaranżował ślub, by jego syn się ustatkował i zmienił. Cuthrow postanawia płynąć na Antiguę, by odbić Benjamina, jednak rany, jakie odniósł w walce, skutecznie mu to uniemożliwiają. Kapitan traci przytomność i dowodzenie nad okrętem, na którym znowu dochodzi do buntu.

Gdy Cuthrow budzi się po kilku dniach, odkrywa, że nie jest na pokładzie *Silver Stag*, lecz w lupanarze Mary Rose. Kobieta nie ukrywa wściekłości, zaangażowała się w związek i nie ma ochoty zostać wdową w tak młodym wieku. Kapitan dowiaduje się, że nie jest już dowódcą brygu i że ten wpadł w ręce buntowników, którzy wrócili do Nassau, wysadzili go wraz z kilkoma najbardziej oddanymi ludźmi i wrócili na plantację, by dokończyć jej rabowania. Rannego odwiedza Edward England i informuje, że Benjamin jest jego zakładnikiem. Obiecuje wypuścić go, o ile

Cuthrow weźmie udział w ataku na fort, który to atak England zaplanował razem z Jenningsem, chcąc pozbyć się raz na zawsze Hornigolda. Cuthrow nie ma wyjścia, zgadza się, choć nie ma ludzi i sam nie jest zdolny do walki.

Atak zostaje przeprowadzony zgodnie z planem i kończy się sukcesem. Hornigolda nie ma akurat na wyspie, a obsada fortyfikacji jest na tyle nieliczna, że udaje się ją pokonać. W chwili gdy zwycięzcy wchodzi na mury, by sprawdzić stan umocnień, okazuje się, że *Silver Stag* właśnie wchodzi do portu, ciągnąc za sobą trzy angielskie okręty wojenne. Admiralicja, nieświadoma, że Cuthrow stracił dowodzenie, jest przekonana, że to jego – zbiega i człowieka odpowiedzialnego za zamordowanie komodora Wilsona – ściga. Richard Harris – żeglarz, który doprowadził do buntu i przejął dowodzenie – widząc, jak zła jest sytuacja, ucieka z pokładu i znika bez śladu. Pozbawiona dowództwa załoga *Silver Stag* wprowadza okręt do portu i umożliwia mężczyznom w forcie ostrzelanie angielskich jednostek. Dochodzi do bitwy, w której wygrywają piraci. Koszty są jednak wysokie, kilka jednostek stojących na kotwicy zostaje uszkodzonych, w tym ta, pod której pokładem znajduje się Benjamin Wilson. England, widząc co się dzieje, daje Cuthrowowi klucz do kłódki, którą spięte zostały łańcuchy skuwające syna komodora. Kapitan dociera do portu, po czym dopływa do wraku okrętu. W ostatniej chwili udaje mu się wy dostać ze środka Benjamina.

Po pogrzebie poległego w bitwie kwatermistrza *Silver Stag*, jednego z oddanych stronników Cuthrowa, który przeciwstawiał się buntom, skruszona załoga zwraca się do kapitana o ponowne objęcie dowództwa. Ten zgadza się, dostając znów jednostkę pod swoje rozkazy. Na wyspie England i Jennings tworzą Radę, która ma zarządzać Republiką Piratów. Hornigold, pozbawiony fortu, przyprowadza do Nassau hiszpański man-o'-war, pływającą fortecę.

*I could really use, to lose my catholic conscience,
because I'm getting sick of feeling guilty all the time.
I won't abuse it, yea, I've got the best intentions,
for a little bit of anarchy, but not the hurting kind.*

Consequence Free, Great Big Sea

Rozdział I

Pokład *Silver Stag*.

13 lipca 1715 roku, sobota.

Charlie Baker powiódł wzrokiem po pokładzie, starając się oszacować postęp prowadzonych przez załogę prac. *Silver Stag* wymagał napraw, nikt w to nie wątpił, ale choć na New Providence nie brakowało drewna ani lin, a ludzie przykładali się do roboty, nie wszystko udawało się załatwić tak szybko, jak by tego chciał.

„Gdyby nie Harris – pomyślał – moje życie byłoby lżejsze i przyjemniejsze”.

Na samo wspomnienie tego, co stało się w maju, przeszły go ciarki. Załoga miała wrócić na Nevis po wykonaniu misji, niczym nieodbiegającej od spraw, którymi zajmowali się przez ostatni rok. Tym razem jednak coś poszło nie tak – eskortowany przez *Silver Stag* słup wpadł na skały i poszedł na dno. Kapitana Cuthrowa, jak później się okazało, oskarżono o celowe zatopienie

jednostki, wtrącono do celi, nader szybko osądzono i skazano za działanie na szkodę Korony.

Jeszcze przed zbliżeniem się do Nevis Cuthrow miał złe przecucia. To przez nie oraz dzięki wierze we własną intuicję kazał załodze zacumować w zatoce karenażowej, a nie w porcie. Tylko dlatego marynarze nie zostali aresztowani razem z nim i przez kilka dni oczyszczali burty, pozostając w najświętszym przekonaniu, że ich los nie może już być gorszy. Nieświadomi tego, że ich poturbowany dowódca siedział w celi i nasłuchiwał zbijania szubienicy, na której miał zawisnąć, zeszkrobywali pąkle i smarowali poszycie.

Przez długi czas pozostawało tajemnicą, w jaki sposób udało mu się uciec. Cuthrow nie miał czasu (i najwyraźniej ochoty) tłumaczyć wszystkiego swoim ludziom. Zmusił ich do jak najszybszego podniesienia kotwicy i ruszenia na północ, ku New Providence. Wtedy z całą mocą dotarło do nich, że z korsarzy stali się piratami i że nic już nie będzie takie jak wcześniej. Niektórych ogarnęła wściekłość, innych lęk, a część poczuła ulgę. Od lat napadali na statki i okręty, głównie hiszpańskie bądź francuskie. Teraz mogli robić to bez konieczności ograniczania się, pisania raportów i wykonywania zleceń przez komodora Wilsona misji. Co więcej – to, co zrabowali, należało do nich i nie musieli więcej dzielić się zdobyczami z inwestorami.

Wszystko wyglądało nieźle, do czasu kiedy jeden z nich, mężczyzna o nazwisku Lewis, nie spróbował przejąć kontroli nad brygiem. Załoga się podzieliła i choć bunt zdławiono, na pokładzie zostało kilku niezadowolonych kombinatorów. Jeden z nich, Harris, spróbował przejąć kontrolę nad *Silver Stag*, kiedy Cuthrow leżał ranny w swojej kajucie po walce z komodorem. Harris niedługo jednak cieszył się rolą kapitana, wpadł prosto w pułapkę zastawioną przez Royal Navy i przywłókł niewielką flotyllę wprost do Nassau – wolnego, pirackiego miasta.

Teraz, po ponad sześciu tygodniach od walki, jaką stoczyli z angielską flotyllą u wybrzeży wyspy, Charlie po raz pierwszy poczuł, że sprawy idą w dobrym kierunku. Był bosmanem,

którego – podobnie jak kwatermistrza Jimmy’ego Handsa – na stanowisko wybrała załoga, wiedział więc, że utwierdzenie ich w słuszności wyboru było niezwykle ważne. Ciesle dawali z siebie wszystko, rejowi pracowali wysoko nad pokładem pod ich dyktando, reszta pomagała, jak tylko mogła, a powodzenie ich działań zależało od tego, jak szybko, jeśli w ogóle, udało mu się sprowadzić potrzebne materiały. Nie mógł pozwolić sobie na porażkę. Nie mógł ich zawieść ani tym bardziej spowodować, by uznali, że nie potrafił wywiązać się ze swoich obowiązków.

Przez ostatnie tygodnie atmosfera na wyspie nieco się poprawiła. Początkowo mieszkańcy Nassau żyli w napięciu, zastanawiając się, ile dni pozostało do najazdu Royal Navy. Wierzyli, że po upokorzeniu, jakiego admiralicja doznała z rąk piratów, oficerowie musieli pałać chęcią zemsty i planować przywrócenie własnych porządków w zbuntowanej kolonii. Ponieważ przez długi czas nic się nie działo, a sowicie opłacani informatorzy nie przekazywali niepokojących wieści, mieszkańcy zaczęli pokładać coraz większą wiarę w obrońcach New Providence. I tylko defetyści rozpowiadali, iż atak został wyłącznie odłożony w czasie, co niczego nie zmienia, bo może oznaczać jedynie sprowadzenie na miejsce większych sił, których zebranie z oczywistych powodów musiało zająć wojskowym kilka tygodni.

Coraz mniej osób zwracało na nich uwagę. Większość mieszkańców z zainteresowaniem obserwowała naprawy prowadzone w forcie i prace na zakotwiczonych jednostkach. Docierające do nich informacje o posiedzeniach Rady Republiki dawały nadzieję na dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu i uniezależnienie wyspy od Korony. Uspokajały, pozwalając wierzyć, że uda się powstrzymać kolejną napaść na miasto.

Choć Baker wychodził ze skóry, by działać jak najszybciej, z zaskoczeniem odkrył, że był jednym z wyższych rangą członków załogi, któremu zdawało się zależeć na czasie. Kapitan zwlekał z wyjściem w morze, dając sobie czas na powrót do pełni sił. Dni dzielił między narady z pozostałymi dowódcami i rozmowy

z załogantami. Noce spędzał w prywatnej części przybytku Mary, z którą najwyraźniej łączyło go coraz więcej. Kwatermistrz Jimmy Hands nie zdradzał zaniepokojenia, uważając, że kapitan Timothy Cuthrow najlepiej wiedział, co robić, a Benjamin Wilson, który dołączył do obsady brygu z woli dowódcy, podzielał jego zdanie.

Większość załogi nie narzekała na nadmiar gotówki, Charlie postarał się jednak, by pozbycie się tego, co im zostało, zajęło jak najwięcej czasu. Dlatego dbał nie tylko o zapewnienie wszystkim zajęć na pokładzie i pod nim, ale też o to, by w morderczym upale okazywały się one nader wyczerpujące. Dzięki temu mężczyźni nie mieli wieczorami zbyt wiele sił na zabawę czy popijawę. Mimo wszystko skromne zapasy, w większości pochodzące z ataku na farmę Finleya, zaskakująco szybko się kurczyły. Wiedział, że niebawem nadejdzie pora łowów, a przygotowanie brygu było jego świętym obowiązkiem.

W czasie rajdu, który załoga odbyła pod przywództwem chwilowo dowodzącego nią buntownika Richarda Harrisa, rufowa część *Silver Stag* została kilkakrotnie trafiona kulami. To, że nie doszło do przebicia poszycia, a jednostka nie nabierała wody i nie trzeba było ratować jej przed zatonięciem, bosman uważał za cud. Wymiana porwanego takielunku nie stanowiła problemu. To, czego nie miała w swoim kantorze Miriam, zaprzyjaźniona z załogą handlarka, bosman kupił u jej konkurencji lub kazał ludziom zabrać z wraku angielskiego *Vehemence* – okrętu angielskiej, pokonanej przez nich niedawno flotyli. Załoga Edwarda Englanda ze znajdującego się w najgorszym stanie *The Royal James* splądrowała co prawda *Vehemence* jako pierwsza, szczęśliwie jednak nie potrzebowała wszystkiego, co znajdowało się na pokładzie, a England pozwolił Bakerowi korzystać z resztek, nie żądając zapłaty ani nie zadając pytań.

Najtrudniejsze okazało się zdobycie materiałów potrzebnych do wymiany strzaskanych okien w kajucie kapitana. Cieśle zdołali wymontować pozostałości rozbitej ramy, lecz brakowało im szklanych tafli do osadzenia w nowej framudze. Drugą rzeczą,

której, jak się zdawało, nie można było zdobyć w całym Nowym Świecie, były niewielkie drewniane bloczki, służące do ustawiania bromrei grotmasztu w odpowiedniej względem wiatru pozycji. W końcu, gdy bosman praktycznie stracił wszelką nadzieję, na wyspę dotarła niewielka łódź handlowa, której kapitan od dłuższego czasu pomagał miejscowemu sprzedawcom. Miriam, po śmierci swego brata Nathana prowadząca nadal rodzinny kantor, nie zaprzestała korzystania z usług tego mężczyzny, a jemu nie przeszkadzał fakt, że miał teraz dobijać targów z kobietą. W czasie poprzedniej wizyty poprosiła go o dostarczenie paru nietypowych drobiazgów, w tym bloczków, które Baker przeklinał już dniem i nocą. Mimo wstawiennictwa kobiety i pośrednictwa Jacoba ibn Adama – buchaltera *Silver Stag*, który od wczesnej młodości przyjaźnił się z Miriam i Nathanem – zapłacił za nie nieprzyzwoicie wysoką cenę. Liczyło się tylko to, że w końcu udało mu się je zdobyć.

– Nie będę ukrywał, że trochę to trwało...

– Panie Hicks, nie słyszał pan, że cierpliwość jest cnotą? – odparł Baker, zerkając na głównego cieślę, który skończywszy rozmawiać z dwoma marynarzami, postanowił zaszczyścić go swoim towarzystwem.

– Słyszałem... Właśnie miałem dodać, że choć się naczekaaliśmy, muszę panu pogratulować. Pasują idealnie, są też dobrej jakości. Chłopcy skończą pracę za kilka godzin i dadzą głowę, że tylko sztorm albo kula łańcuchowa zdoła nas teraz spowolnić.

– Wolałbym jednego ani drugiego nie doświadczyć...

– Ja też, panie Baker, ja też. Choć jeśli miałbym wybierać, wolałbym ostrzał niż jedną z tych przeklętych burz. Kiedyś wydawało mi się, że nie ma nic gorszego niż wiatr omiatający południe Anglii, ale to było, zanim wysłano mnie do kolonii. Dopiero tu zrozumiałem, czym jest prawdziwy sztorm. Te trąby wodne, jak słupy podtrzymujące niebo...

Bosman zerknął na mężczyznę z niesmakiem. Rozumiał obawy cieśli, nie uważał jednak za stosowne omawiania najgroźniejszych meteorologicznych zjawisk, gdy żadne z nich im nie

zagrażało. Szczególnie w obecności zawsze strzygącej uszami załogi.

– Cóż, panie Hicks, nie sposób się z panem nie zgodzić. Na razie jednak na nic podobnego się nie zanosi, a lej, o którym pan mówi, to rzadkość. Pańscy ludzie świetnie się spisali, nie zapomnę wspomnieć o tym Burnswi... Kapitanowi Cuthrowowi – poprawił się.

– Oczywiście... – mruknął cieśla. Nie zależało mu na poklepywaniu po ramieniu ani pochwałach. Przez pierwsze dni po ostrzale fortu widywał Cuthrowa częściej, niżby tego sobie życzył, a odpowiedzialność za stan jego zdrowia ciążyła mu jak nic innego. Wiedział, że dowódca musiał trzymać fason, lecz jego brak troski o własną kondycję wytrącał go z równowagi. Najgorsze było to, że nie miał czasu tłumaczyć mu, że udział w pogrzebie zabitego w ostatniej bitwie kwatermistrza Strikesa, choć ważny, mógł okazać się ponad jego siły. Miał pod opieką wielu konających, krążył między lupanarem, gdzie amputowano kończyny i zszywano poważne rany, a plażą, gdzie z jednej strony zgromadzono nierokujących żadnych nadziei, z drugiej zaś tych, którzy mogli poczekać na pomoc. Dyskusje z Cuthrowem wykańczały go bardziej niż zajmowanie się pozostałymi pacjentami.

Teraz ludzie mieli się już dobrze, większość zapomniała nawet o odniesionych obrażeniach, ale Hicks aż do dziś miał ręce pełne roboty, a narzędzia, których używał do prac na pokładzie, dalej nosiły ślady zaschniętej krwi.

– Kiedy go pan zobaczy, panie Baker – dodał – proszę przekazać, że poza tymi cholernymi oknami zrobiliśmy wszystko. Jeśli chodzi o nas, możemy wychodzić w morze.

– Jestem pewien, że niebawem wyruszymy – odparł bosman, posyłając uspokajający uśmiech Hicksowi.

Zamierzał dokonać szybkiej inspekcji i wrócić na ląd, by rozmówić się z Burnsem. Ruszył z achterdeku i zajrzał do kapitańskiej kajuty, chcąc rzucić okiem na nieszczęsną witrynę. Musiał wiedzieć, jak opisać stan prac przełożonemu, chciał też zebrać myśli przed spotkaniem.

Wśliznął się do środka i kątem oka zauważył głównego artylerzystę majstrującego przy burcie rufowej. Giles Yates najwyraźniej upewniał się co do stanu dział umieszczonych pod siedziskiem, na którym zwykł sypiać Cuthrow.

– Witaj, Giles – rzucił, mając nadzieję, że ton jego głosu nie zdradzi znużenia. – Wszystko w porządku?

– W wyśmienitym, Charlie, w wyśmienitym. Armaty mają się dobrze, a w każdym razie lepiej niż moi ludzie.

– Wiem, co chcesz powiedzieć...

– To dobrze – wszedł mu w słowo Yates, domykając drzwiczki prowadzące do ambrazur. Usiadł na kanapie, wskazując bosmanowi miejsce koło siebie. – W takim razie zrób coś, żebyśmy mogli w końcu zarobić jakieś pieniądze. Hicks poprosił artylerzystów o pomoc w naprawach. Pracowali ciężko, żebyśmy mogli zacząć działać. Tłumaczyłem im, żeby postępowali roztropnie i ograniczali wydatki, ale wiesz, jak to jest. Dzień na pokładzie, wieczór na lądzie. Większość nie ma już nic, część zadłużyła się po uszy. Mary pozwoliła im na niewielkie kredyty, niewątpliwie dzięki wstawiennictwu kapitana. Nie jestem zwolennikiem takiego postępowania, ale rozumiem, że traktuje nas poważnie i wierzy, że oddamy, co jesteśmy jej winni, kiedy tylko będziemy w stanie. Gorzej rzecz ma się z tymi, którzy poza dziwkami lubują się w kościach i kartach. Są winni pieniądze nie tylko sobie nawzajem, ale i członkom innych załóg. To zaczyna rodzić konflikty i pogarsza atmosferę. Burns musi poprowadzić nas do walki, potrzeba nam przyzu, który pozwoli odbić się od dna.

– Zaraz schodzę na ląd i idę z nim porozmawiać. Przekonam go...

– Wiem, że się starasz i robisz, co w twojej mocy – rzekł pojednawczo artylerzysta. Nie chciał, by bosman uważał, że ma do niego pretensje, ale zależało mu na jasnym postawieniu sprawy. Był to winien swoim podwładnym. – Chciałbym jednak, żebyś przekazał mu, że ludzie są wierni, nie chcą odchodzić pod rozkazy innego, ale jeśli dłużej tak będzie, nie wiem, czy zdołam ich zatrzymać. Długi to sprawa nie tylko honorowa.

Niektórych szukają już wierzyciele, a nie są to ludzie skłonni do negocjacji.

– Rozumiem...

– Kapitan uważa, że jest odpowiedzialny nie tylko za nas, ale i za całe Nassau. Republika to ważna sprawa, zgadzam się z nim, ale siedząc na zebraniach Rady, nie nakarmi swoich ludzi, nie utwierdzi ich w przekonaniu, że nadal jest gwarantem ich powodzenia i dostatniego życia. Wiem, że lepiej polować, kiedy ma się plan, kiedy doskonale się wie, gdzie czeka zdobycz, ale czasem trzeba spróbować złowić coś, nie mając pewności, że się uda. Ludzie tego potrzebują. W tej chwili każda zdobycz podniesie morale.

– Spróbuję przekonać go do jak najszybszego wyjścia w morze, obiecuję – mruknął Baker ponownie, coraz bardziej znużony koniecznością wysłuchiwanie argumentów, które znał lepiej, niżby tego chciał. Odpowiadała mu rola bosmana, ale zaczynał mieć dość uwag tych, którzy chcieli czymś się z nim podzielić w nadziei, że ich skargi zostaną przekazane dalej. Wszyscy wiedzieli, gdzie znaleźć kapitana, a on nie widział powodu, dla którego nie mogliby sami się do niego pofatygować.

– Charlie, gdzie on właściwie teraz jest?

– W forcie, na zebraniu Rady... – przyznał po chwili milczenia i szybko dodał: – Przez ostatnie tygodnie zastanawiali się, jak obronić New Providence przed Royal Navy. Musisz przyznać, że to ważna kwestia, nawet jeśli nie prowadzi do nowych zdobyczy...

– Nie zamierzam zaprzeczać. Problem w tym, że do tej pory nie pojawili się tu nawet angielscy zwiadowcy, o królewskiej flocie nie wspominając.

– Dlatego, jak mi się wydaje, spotkali się, by radzić, co dalej. Większość załóg, tak jak my, chce wyjść w morze. Tylko ci, którym przewodzi kapitan Vane, mieli ku temu szansę. Podejrzewam, że omówią kwestie obronności i ustalą, kto kiedy może wypłynąć z portu. Zresztą, Giles, podzielam twoją opinię, tak samo jak zdanie Hicksa. Musimy ruszać, wszyscy tego potrze-

bują. Jestem przekonany, że kapitan też to rozumie i że niebawem poprowadzi nas ku walce i jakiejś zdobyczy. Nie zaślepiła go troska o wyspę, a załoga jest mu droższa niż idea nowego Nassau. Musisz mi wierzyć, a jemu ufać. Ty i wszyscy na pokładzie.

* * *

**Nevis, Charlestown, Fort Charles
na południowym krańcu miasta.
13 lipca 1715 roku, sobota.**

Wicegubernator Wysp Podwietrznych Daniel Smith stał w oknie jednej z komnat gościnnych fortu i patrzył na dwóch strażników dyskutujących na głównym dziedzińcu. Mężczyźni skończyli nocną wartę, po czym wzięli udział w porannym apelu. Zamiast jednak po jego zakończeniu udać się na spoczynek, najwyraźniej postanowili coś sobie wyjaśnić. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali, widział tylko, że aż kipieli z emocji.

Ostatnio wokół Nevis nie działo się nic niepokojącego. Załoga Fort Charles też to czuła i korzystając z okazji, podchodziła do obowiązków nieco spokojniej, niż miało to miejsce w chwilach zagrożenia czy choćby w czasie wizyt, które w garnizonie zwykł składać świętej pamięci komodor Jonathan Wilson.

„Dobrze – pomyślał – lepiej teraz, niż kiedy będą stać na murach, wypatrując zagrożeń”.

Od jakiegoś czasu obserwowani przez niego piechurzy pracowali w parze i do tej pory nie było z nimi żadnych problemów. Żołnierzy na służbie nie powinny zajmować kwestie niezwiązane z rozkazami. Z ich gestów Smith wnosił jednak, że dyskusja zdecydowanie nie dotyczyła warty ani prac, z którymi regiment zmagał się w mieście – o ile oczywiście polecenia ich dowódcy nie odnosiły się do obfitych piersi, których krągłość jeden z nich sugestywnie próbował pokazać koledze. Imienia damy, do której należały, Smith nie miał szansy dosłyszeć, był jednak przekonany, że chodziło im o znaną na całym Nevis burdelmamę.

– Śliczna Beth... – mruknął pod nosem.

– Sir, czy to wszystko? – spytał nagle pułkownik Cross, taktownie udając, że niczego nie usłyszał.

Smith odwrócił się i zerknął w stronę dowódcy garnizonu. Za plecami wojskowego stało trzech nieumundurowanych mężczyzn, zapewne załogantów z łajby, która miała niedługo ruszyć w rejs ku Antigui.

– Tak, dziękuję, to wszystko. Skrzynie są oznaczone. Mają trafić bezpośrednio do biura gubernatora.

– Tak jest, sir – odparł jeden z cywili, ten, którego najmniej onieśmiała rozmowa z wysokim urzędnikiem. – Zanim wnieśliemy je na pokład, nadamy im numery i zapiszemy wszystko w księdze. Może być pan pewien, że bez problemów dotrą na miejsce.

– Świetnie.

– Gdy tylko rzucimy kotwicę, skrzynie zostaną bezzwłocznie przekazane do fortu. Jak pan mówił, z poleceniem dostarczenia bezpośrednio do biura gubernatora. Jestem osobiście odpowiedzialny za to, by wcześniej nikt ich nie otwierał. Mam potwierdzający to list – dodał mężczyzna, wyjmując zza pazuchy poplamioną kartę z pieczęcią gubernatora.

– Znakomicie – mruknął Smith, nie fatygując się, by obejrzyć papier.

– Sir, jeśli pan pozwoli, dopilnuję załadunku – bąknął Cross, patrząc na trójkę wynoszącą skrupulatnie spakowane rzeczy. Zabierali je z pokoju zajmowanego do tej pory przez komodora.

– Oczywiście, pułkowniku. Nie będzie mi pan na razie potrzebny, proszę zająć się swoimi sprawami. Gdybym czegoś potrzebował, pošlę po pana.

Oficer zasalutował i wyszedł z komnaty. Wicegubernator odprowadził go wzrokiem, czując coraz większą ulgę. Cieszył się, że skrzynie znikną w końcu z jego fortu. Tak było lepiej dla wszystkich.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał o śmierci Jonathana Wilsona, uznał, że to niesmaczna plotka, niewarta nawet prób potwier-

dzenia. Zamierzał ją zignorować i czekać na powrót apodyktycznego, nadmiernie ambitnego i porywczego komodora. Każdy przecież wiedział, że złego diabli nie biorą. Coraz więcej osób powtarzało jednak te wieści, a to wzbudzało w nim podejrzenia, zmuszając do zastanowienia się nad prawdziwością plotek. W końcu otrzymał rozwiewający wszelkie wątpliwości list od samego Waltera Hamiltona.

Smith nie mógł zarzucić gubernatorowi Hamiltonowi nadmiernej powściągliwości, choć mężczyzna oszczędził mu szczegółów, które z pewnością poznał od wysłanych na plantację Finleya ludzi. Sporo miejsca poświęcił za to opisaniu własnych emocji związanych z występkiem, jakiego dopuścił się zbiegły skazaniec, Timothy Cuthrow. Podzielił się też przemyśleniami dotyczącymi opuszczenia Antigui przez Benjamina Wilsona. Przyznał, że początkowo chciał rozwiązać kłopotliwą sytuację samodzielnie, nie informując o niej nikogo, a w szczególności samego komodora. Teraz jednak, gdy ten nie żył, Smith stracił motywację do szybkiego i dyplomatycznego działania. Nie miał też żadnej pewności, czy Benjamin Wilson rzeczywiście został porwany dla okupu, czy też przeszedł na stronę wyjętych spod prawa, pozbywając się przy okazji resztek honoru. Gubernator chciał nabrać pewności co do przebiegu wydarzeń, a później załatwić sprawę w staromodny, lecz sprawdzony sposób – ku chwale Korony i przy użyciu jak największej liczby wojska.

Wyglądało na to, że dni New Providence jako zbuntowanej kolonii były policzone. Smith wiedział jednak, że wzburzony Hamilton nie zdoła tak łatwo uzyskać zgody na przeprowadzenie ataku ani zebrać zadowolającej go liczby żołnierzy. Potrzebował okrętów, które przerzuciłyby piechurów na miejsce, a to, w chwili gdy nie mianowano jeszcze nowego dowódcy flotylli, wydawało się wyłącznie mrzonką. Gubernator był cywilem odpowiedzialnym za prowadzenie polityki, rozwój gospodarki i rolnictwa, ale nie miał faktycznej władzy nad kapitanami. Wielu oczywiście z nim współpracowało, robili to jednak głównie dlatego, że zgadzali się z jego poglądami politycznymi i niektórymi

posunięciami, nie zaś z powodu jakichkolwiek dyrektyw. Jeśli zaordynowałyby coś takiego jak atak na wyspę pełną uzbrojonych, nieźle wyszkolonych i chętnych do bitki buntowników, większość oficerów Royal Navy po prostu odmówiłaby mu, powołując się na brak potwierdzenia rozkazu przez biuro admiralicji. Pozostawała jeszcze kwestia ewentualnej piechoty, której też brakowało i która nie miała najmniejszego powodu pozytywnie odpowiedzieć na wystosowane przez cywila wezwanie do walki. Garnizon rezydujący w forcie Hamiltona był nie dość liczny, by wyprowadzić go z wyspy, nie narażając jej na niebezpieczeństwo, zaś ściągnięcie posiłków – choćby z Jamajki – wymagało czasu. Dodatkowo dowódcy pieszych regimentów w znakomitej większości nie tyle nie lubili Jonathana Wilsona, co wręcz go nienawidzili. Narażanie życia własnych podwładnych po to, by pomścić kogoś jego pokroju, nie mogło, zdaniem Smitha, zyskać ich aprobaty.

Ponownie zerknął przez okno. Strażnicy zniknęli, a pusty plac apelowy przecinali właśnie tragarze i pułkownik Cross.

Wprawiony w melancholijny nastrój, Smith wrócił myślami do ostatniej, szorstkiej rozmowy, którą odbył z komodorem. Nie było mu szkoda mężczyzny, nie po tym, co zrobił i jak zachowywał się na Nevis. Żałował tylko, że za wszystkim stał Timothy Cuthrow. Smith pokładał w nim wiele wiary i wielokrotnie ostrzegał przed pochopnym działaniem. Smuciło go, że kapitan postanowił rozprawić się z odpowiedzialnym za swoje aresztowanie i skazanie przełożonym, choć nie mógł powiedzieć, by zaskoczyło go to choćby w najmniejszym stopniu. Cuthrow był świetnym dowódcą oddanej i doświadczonej załogi, było w nim jednak coś, co sprawiało, że bardziej niż na kapitana Royal Navy nadawał się na korsarza. Niezależność i traktowanie rozkazów jako ogólnych wskazówek, nie zaś wyraźnych wytycznych, od początku zwiastowały poważne problemy.

Urzędnik wiedział, że komodor już kilka lat wcześniej próbował pozbyć się kłopotliwego podwładnego. Początkowo nie rozumiał, dlaczego Jonathan Wilson nie dopełnił formalności związanych z wydaleniem krnąbrnego oficera z marynarki przy

pierwszej nadarzającej się okazji. Coś mu przeszkodziło i dopiero teraz, po śmierci mężczyzny, Daniel Smith dowiedział się, co to było.

Kiedy, zamiast oddelegować do tego służbę, na polecenie Hamiltona pakował rzeczy zmarłego tragicznie Wilsona, zajął się zadaniem osobiście. Dało mu to okazję do przejrzania wszystkiego, co znajdowało się w komnacie komodora. Większość rzeczy była przeciętna, zwyczajna, nawet nudna, lecz w komodzie, pod cywilnymi ubraniami, których, jak mogło się wydawać, wojskowy nigdy nie nosił, znajdowała się skórzana teczka z nader interesującą korespondencją. Wilson prawdopodobnie oddałby wiele za to, by nigdy nie wpadła w niepowołane ręce. Teraz jednak nie mógł już nic zrobić, a wicegubernator miał dość czasu, by oddać się lekturze donosów, listów od szpiegów rozsianych po Nowym Świecie i korespondencji ze wspierającymi Jonathana politykami z Londynu. Wiedział, że komodor opłacał informatorów, nie spodziewał się jednak, że było ich tak wielu. Nie zgadłby też, jak silne mężczyzna miał poparcie na Starym Kontynencie.

Gdy skończył, zaniósł przesyłki do swojej komnaty i ukrył najlepiej, jak tylko potrafił. Nie widział powodu, dla którego miałby dzielić się z kimkolwiek cennym znaleziskiem.

Odczekał jeszcze chwilę, delektując się widokiem opustoszałego placu, po czym ruszył do komnaty służącej mu za gabinet. Usiadł przy biurku i korzystając z chwili spokoju, napisał list, który od dłuższego czasu zamierzał wysłać. Był krótki, ale wymagał nie lada koncentracji. Smith starannie dobierał słowa. Nie chciał nikogo urazić, zależało mu też na uniknięciu nieprecyzyjnych wyrażań. Dodatkowo brał pod uwagę możliwość wpadnięcia korespondencji w ręce kogoś, kto nie powinien jej czytać. Długo myślał, jak ułożyć każdy akapit, każde zdanie, wielokrotnie powtarzając w głowie co istotniejsze fragmenty.

Zalakował starannie kartę, nie przystawił jednak pieczęci. Nie napisał też żadnego adresu.

Sięgnął po drugi arkusz papieru i zanotował prośbę dotyczącą dostarczenia listu. Sposób jej spełnienia pozostawił w gestii

adresatki, nie śmiałyby jej czegokolwiek sugerować, wierząc, że lepiej od niego wiedziała, jak to zrobić. Upuścił kilka kropli laku i tym razem starannie odcisnął wymagany urzędowymi przepisami wzór herbu wicegubernatora Wysp Podwietrznych.

Przeciągnął się w fotelu, uznając dzień za całkiem udany. Pozostało mu tylko poczekać na przyście Betty. Powinna zajrzeć do komnaty najpóźniej za pół godziny. Chciał spędzić z nią kilka miłych chwil, a później poprosić, by wymawiając się przed majordomusem koniecznością przyniesienia mu czegoś z miasta, opuściła fort i udała się do lupanaru. Zamierzał polecić jej odnalezienie kobiety, której sława sięgała daleko poza Nevis, a której piersi zaprzętały myśli większości żołnierzy garnizonu.

Listy miały trafić do rąk własnych Ślicznej Beth wraz z niewielką sumą wystarczającą na pokrycie wszelkich kosztów. Opatrzony pieczęcią krótszy list przeznaczony był dla niej. Drugi miała wysłać w długą i niebezpieczną trasę. Przeczucie podpowiadało Smithowi, że burdelmama świetnie wiedziała, gdzie znaleźć kapitana Cuthrowa i kogo poprosić o pomoc w doręczeniu poczty.

* * *

New Providence, Nassau.
13 lipca 1715 roku, sobota.

Kapitan Timothy Cuthrow usiadł na krześle i sięgnął po stojący przed nim kieliszek wina. Kiedy ostatnim razem bawił w tej sali, podejmujący go Benjamin Hornigold starał się jednocześnie zaimponować mu potęgą Nassau i swoimi możliwościami. Nie zachowywał się wrogo, choć powietrze wręcz przesączone było jego władczością i potrzebą dominacji.

Teraz sprawy przybrały obrót znacznie wygodniejszy, przynajmniej z punktu widzenia Burnsa. Dawny samozwańczy gubernator nie zajmował już miejsca przynależnego gospodarzowi, choć był członkiem Rady Republiki, a jego prawa w żaden sposób nie

odbiegały od tych, jakie mieli pozostali obecni w pomieszczeniu. Pewną przewagę dawało mu to, że pod jego rozkazami znajdowała się *La Dama Blanca*, pływająca forteca, która z łatwością rozprawiłaby się ze wszystkimi jednostkami zakotwiczonymi u wybrzeża New Providence. Z kolei służący na jej pokładzie kwatermistrz Edward Teach pozostawał jednym z najlepiej poinformowanych ludzi w Nowym Świecie. Wiele wskazywało też na to, że przynajmniej część pieniędzy, których Hornigold dorobił się w czasie sprawowania faktycznej władzy nad wyspą, pozostała w jego rękach. To czyniło go nie tylko najlepiej uzbrojonym, ale i najbogatszym spośród kapitanów oraz mieszkańców Nassau. Mimo wszystko jego pozycja osłabła na tyle, by nie dążyć do otwartego konfliktu z pozostałymi dowódcami. Stracił stanowisko i był pewien, że szybko go nie odzyska. Dodatkowo jego załogę zdziesiątkowała zaraza, a pełne obsadzenie *La Dama Blanca* wymagało przeprowadzenia werbunku także poza New Providence, na co w najbliższym czasie nie mógł liczyć.

Cuthrow nieco mu współczuł, rozumiał, jak bardzo bolesna musiała być dlań utrata fortu. Uważał też, że to, co spotkało Hornigolda, było nieuniknione i wydarzyło się wyłącznie na jego własne życzenie. Nie zamierzał kopać leżącego, nie chciał zaostriąć konfliktów. Postanowił nie wdawać się z nim w żadne dyskusje i w miarę możliwości unikać konfrontacji. Rzucił mu tylko przelotne spojrzenie i skinął głową, gdy ten przybył na zebranie. Odczuł też ulgę, gdy spostrzegł, że mężczyzna założył swoją sfatygowaną perukę. Dawał w ten sposób sygnał, że posiedzenie traktuje poważnie. Burns uśmiechnął się, myśląc, jak niekomfortowo sam czułby się w takim nakryciu głowy, po czym powiódł wzrokiem po zebranych.

Dziewięciu wolnych ludzi, dowodzących różnej wielkości okrętami i załogami, przebywało razem w największej sali fortu. Rozmawiali ze sobą cicho, podzieleni na kilka grup, jednocześnie sącząc wino i czekając na znak do rozpoczęcia narady. Łączył ich jeden cel – utrzymanie wyspy i doprowadzenie do jej niezależności od brytyjskiej Korony. Każdy z nich widział przyszłość nieco

inaczej. Dzieliło ich wiele, lecz wszyscy rozumieli, że współpraca opłacała się im znacznie bardziej niż działanie na własną rękę. Nawet jeśli wymagało to pewnych poświęceń i ustępstw – do których nie przywykli.

Burns wiedział, że najważniejsze stawało się utwierdzenie kapitanów w słuszności podjętej decyzji i niedopuszczenie do tego, by różnice wzięły górę nad kruchą jednością. Jego pozycja nadal była o wiele niższa od tej, jaką cieszyli się England czy Jannings. Wciąż był *nowym* i nie mógł pozwolić sobie na publiczne wygłaszanie tyrad natury politycznej. Wspierał jednak obu mężczyzn, z którymi zdobył wcześniej fort, i jak tylko potrafił, pomagał im w podtrzymaniu w innych wiary w konieczność kooperacji.

– Skoro wszyscy jesteśmy – odezwał się stojący u szczytu stołu mężczyzna – chyba możemy zaczynać. Mamy kilka niecierpiących zwłoki spraw do omówienia.

– Tak samo niecierpiących jak rzekoma napaść, która miała nadejść tygodnie temu? Kapitanie England, uważam, że pora przestać straszyć nas marynarką króla Jerzego...

Edward England odsunął powoli krzesło i powiesił na jego oparciu stary, zniszczony płaszcz kapitana Royal Navy. Spojrzał wprost na niezadowolonego towarzysza, po czym odparł najspokojniej, jak potrafił:

– Kapitanie Pyne, nie pan jeden odczuwa zmęczenie ostatnimi wydarzeniami i oczekiwaniem na reakcję admiralicji. Wezwałem was właśnie po to, by omówić obecną sytuację. Atak nie nastąpił, co nie oznacza, że powinniśmy przestać się go spodziewać.

– Edward ma rację – poparł gospodarza Henry Jennings. Nie podniósł na nich wzroku, obracał w rękach swój trójgraniasty kapelusz, jakby sprawdzał kondycję szwów. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni, wszyscy mamy załogi, za które odpowiadamy i które chcą wyjść w morze. Nie możemy jednak zostawić w Nassau jedynie nie w pełni obsadzonego fortu bez żadnego dodatkowego wsparcia. Stan umocnień od lat pozostawia wiele do życzenia,

a po ostatniej walce jest wręcz tragiczny. Jako nowi panowie tego miejsca musimy zadbać o bezpieczeństwo nie tylko naszych ludzi, ale i mieszkańców miasta. Uważam, że pora, by niektórzy z nas opuścili port, część musi jednak zostać i...

– Niektórzy? Dobrze mi się wydaje, że zamierzacie wyłożyć nam, który z nas ma tu zostać, kiedy wy napełnicie kiesy swoich ludzi? – spytał trzymający komitywę z Pyne’em Curson.

– Nie. Chcieliśmy to z wami omówić, a nie za kogokolwiek decydować.

– Panowie, proszę... – przerwał im England. – Każdy z was ma prawo głosu. Republika opiera się na prawach demokracji i wspólnie podejmiemy tę decyzję. Ważne, byśmy zgodzili się, że obecna sytuacja wymaga od nas pewnych poświęceń. Niestety, niektórzy będą zmuszeni odłożyć swoje wyprawy, później jednak dostaną tyle czasu, ile tylko będziemy mogli im dać. Nikt nie zostanie pokrzywdzony.

Hornigold, zerkający raz na Englanda, raz zaś na dowódców mniejszych jednostek, którzy najwyraźniej starali się stworzyć wspólny front, poprawił się na krześle i rzucił:

– Wydaje mi się, przyjaciele, że ta dyskusja donikąd nas nie zaprowadzi. Podobnie resztą, jak i wcześniejsze spotkania. Cokolwiek ustalicie, weźcie pod uwagę, że nie mam zamiaru na nic czekać. Wychodzę w morze.

– Kapitanie, jest pan członkiem Rady tak samo jak pozostali z nas – upomniał go England. – Ponieważ liczymy się z pańskim zdaniem, bylibyśmy zobowiązani, gdyby raczył pan odwdziżyć się nam tym samym. Przypominam tylko, że za obecny stan umocnień jest pan w znacznym stopniu osobiście odpowiedzialny.

– To już impertynencja! Twierdzisz, że to ja ostrzelałem fort? Czy może, że to moja załoga sprowadziła do przesmyku pół flotyli Jonathana Wilsona? Nie ponoszę za to odpowiedzialności w najmniejszym nawet stopniu. Tak samo jak za zamordowanie komodora. A to, że pozwolę sobie przypomnieć, jest głównym powodem wściekłości Royal Navy.

Burns, do tej pory biernie przysłuchujący się dyskusji, poczuł się wywołany do odpowiedzi:

– I kto tu jest impertynencki? Kilka dobrych lat zajmowałeś te pokoje, codziennie wchodziłeś na mury i ponoć sprawdzałeś, czy działa są sprawne. Zbierałeś podatki, twierdząc, że inwestujesz w naprawy i dozbrojenie twierdzy. Z tego co widziałem, od lat nie przeprowadzano tu jednak żadnych prac. Nie mów teraz, że to ja czy moi ludzie jesteśmy za wszystko odpowiedzialni. Gdybyś wywiązywał się ze swoich obowiązków, nie doszłoby aż do takich zniszczeń. Fort powinien być w stanie obronić miasto przed atakiem podobnym do tego, jaki na nas przeprowadzono, tymczasem gdyby nie ostrzał z portu, nie siedzielibyśmy tu teraz i nie rozmawialibyśmy.

– Akurat ty, Cuthrow, nie powinieneś się w ogóle odzywać. Kiedy pojawiłeś się na wyspie, liczyłem, że wzmocnisz nasze siły. Zamiast tego sprowadziłeś na nas same nieszczęścia. Szanowni panowie, przyjaciele – Hornigold powiódł wzrokiem po zebranych – *La Dama Blanca* opuści niebawem port, czy to się wam podoba, czy nie. Nie wiem dokładnie, ile czasu spędzi na morzu, a nawet gdybym wiedział, nie uważam za swój obowiązek informować was o tym. Jeśli nie podoba się wam moja decyzja, powstrzymajcie mnie. Tu i teraz.

Burns obawiał się, czy triumfalny uśmiech Hornigolda nie spowoduje, że któryś z obecnych postanowi wstać i dać mu w pysk. Sam miał na to ochotę.

– Kto da nam gwarancję, że on w ogóle wróci na wyspę? Najpierw wyzyskiwał nas, nękał podatkami i kontrolował handel, a teraz, mając *Damę*, zostawi nas samym sobie. Kapitanie England, ustaliliśmy wcześniej, że każdy zobowiązany jest przekazać piątą część swoich łupów na rzecz zabezpieczenia wyspy. Wydaje mi się, że w związku ze współdzieleniem powinności finansowych powinniśmy mieć jakieś gwarancje.

– A mnie się wydaje, Pyne, że moje słowo jest wystarczającą gwarancją... Pamiętaj, z kim rozmawiasz.

Pyne zerknął z ukosa na Cursona, szukając wsparcia w utarczce z dawnym gubernatorem. Nim jednak ten zdążył zareagować, głos zabrał nie najlepiej radzący sobie z kontrolą przebiegu spotkania England:

– Panowie, proszę... Zachowujmy się jak na dżentelmenów przystało. Jeśli kapitan Hornigold daje słowo, że wróci i przekaże piątą część łupów, nie widzę powodu, by mu nie wierzyć. Rozumiem, kapitanie Pyne, pańskie wątpliwości, mamy jednak do czynienia z człowiekiem, który związał się z New Providence i który z pewnością zachowa się honorowo.

– Błagam... Kiedy tylko pojawi się szansa na powrót do królewskich łask, pierwszy popędzi do gubernatora lizać mu dupę. Mamy mu ufać i nazywać go dżentelmenem?

– Tak, kapitanie Curson. Mamy go tak nazywać i traktować, ponieważ jest jednym z nas. Niezależnie od tego, co robił wcześniej.

– Dość – rzucił Hornigold, wstając od stołu. – Nie zamierzam dłużej tego słuchać. Wiercie sobie, w co chcecie, i nazywajcie mnie, jak dusza zapagnie. Nie obchodzi mnie, czy macie mnie za tyrana, despotę czy przyszłego zdrajcę. Nie ja byłem do niedawna na liście płac Hamiltona, ale widzę, że to nic dla was nie znaczy. Macie ochotę mnie powstrzymać? Proszę uprzejmie. Wiecie, do których okrętów strzelać, *La Dama Blanca* i *La Concorde* stoją w porcie. Jeśli się jednak na to zdecydujecie, przygotujcie się na spotkanie z Bogiem, bo odpowiem na każdą próbę ataku.

W komnacie zapadła cisza. Nikt nie miał ochoty wdawać się w dalsze dyskusje z rozsierdzonym dowódcą man-o'-wara. Hornigold bez słowa opuścił pomieszczenie, nie dodając już nic więcej.

Odprowadzili go wzrokiem, a gdy drzwi zamknęły się, przez chwilę milczeli, dając sobie czas, by ochłonąć.

– Cóż, przynajmniej atmosfera się oczyściła.

– Kapitanie Vane, cieszę się, że jednak poświęcał pan nieco uwagi temu, co tu się działo – mruknął Edward England, próbując

opanować nerwy. – Bałem się, że rozmowa z kapitanem Jenningsem bez reszty pana wciągnęła. Skończyliście już panowie ze sobą szeptać czy chcecie, byśmy dali wam jeszcze chwilę?

– Nie szukam z nikim zwady, England. Rozumiem, że jesteś zdenerwowany jego zachowaniem, ale proszę, daruj sobie. Nie masz we mnie wroga i wierz mi, nie chcesz go we mnie mieć. Kapitanie Cuthrow – Charles Vane zwrócił się nagle do Burnsa – może zdoła pan pomóc nieco uspokoić się naszemu gospodarzowi i sprowadzić to spotkanie na właściwe tory. Czy powie nam pan, jak rozumieć brak zainteresowania marynarki naszą wyspą? Spodziewaliśmy się, że zaatakują w ciągu trzech tygodni. Spośród nas wszystkich to pan jest najlepiej zaznajomiony z angielską taktyką, dlatego wydaje mi się pan najlepszym adresem tego pytania.

Burnsa zaintrygowało zachowanie Vane’a, przez cały czas rozmawiającego półgłosem z Henrym Jenningsem. Niedawno porzucił służbę u starego kapitana i postanowił zostać niezależnym dowódcą. Zrobił to w sposób nie do końca zgodny z marynarską etykietą, bezczelnie i bez zapowiedzi – tym bardziej dobra komitywa, w jakiej zdawali się być, wydała mu się zaskakująca.

– Muszę przyznać – rzekł po chwili – że brak odwetu nie jest dla mnie w pełni zrozumiałą. Mogę jedynie podejrzewać, o co chodzi.

– Niech więc nas pan oświeci.

– Gubernator Hamilton z pewnością kipiał ostatnio ze wściekłości. Miał ku temu powody, przyznaję... Śmierć komodora Wilsona, przejście jego syna na naszą stronę, niepowodzenie ataku na wyspę... Poza tym pewnie wie już, że powiesiliśmy na szubienicach oficerów i kapitanów *Warriora* i *Vehemence*.

– To już wiemy. Wolałbym dowiedzieć się, co z tego wynika.

– Już tłumaczę, kapitanie Vane. Gubernator jest urzędnikiem, cywilem. Nie ma bezpośredniej władzy nad wojskiem, które stacjonuje na podległych mu terenach. Nie dowodzi marynarką ani piechotą. Oczywiście, może je wykorzystywać, ale do każdej wyprawy, do każdego ataku potrzebuje zgody dowództwa

wojskowego. Z punktu widzenia Hamiltona sprawy były prostsze, kiedy żył Wilson. O ile wiem, między tą dwójką panowały przyjacielskie stosunki i z pewnością komodor nie odmówiłby pomocy gubernatorowi. Teraz jednak zabrakło człowieka, który dowodziłby flotyllą. Póki jego stanowiska nie obejmie nowy dowódca, każdy z kapitanów ma prawo działać na własną rękę. To, co stworzył Wilson, wraz z jego śmiercią po prostu się rozpadło. Oczywiście kapitanowie mogą ze sobą współpracować, nie mają jednak zwierzchnika wysłanego przez admiralicję. Wszyscy muszą podążać za ogólnymi wytycznymi dotyczącymi polityki międzynarodowej, nie mogą na przykład bezkarnie zaatakować hiszpańskiego okrętu w okresie pokoju, jaki obecnie panuje. Choć każdy z kapitanów dawnej flotylli powinien być do dyspozycji gubernatora, bez rozkazu z admiralicji nie ma obowiązku odpowiadać na jego apel, jeśli wyda mu się on sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem, ogólnymi wytycznymi czy obowiązującymi rozkazami. O ile więc kapitanowie, których teoretycznie Hamilton ma na swoich usługach, nie uznali ataku na nas za sprawę słuszną i z góry wygraną, gubernator musi czekać na nowego komodora i mieć nadzieję, że będzie to ktoś skłonny do współpracy. Ewentualnie może też liczyć na zgodę na atak z samego Londynu.

– I myślisz – spytał Jennings – że nikogo nie przekona do rozprawienia się z gniazdem rozpusty, grzechu i zepsucia? Że nikt nie będzie chciał pomóc śmierci Wilsona? Za możliwość przyprowadzenia cię w kajdanach na Antiguę niejedni dałby się pokroić. Zresztą z nami rzecz ma się podobnie, za każdego z nas Korona sownie by zapłaciła.

– Wiem o tym. Dlatego podejrzewam, że nie mamy co liczyć na rozejście się sprawy po kościach. Hamilton zapewne wykorzystuje ten czas na przekonanie kapitanów, którzy służyli pod Wilsonem, do pomszczenia jego śmierci. Nie wiem, dlaczego to tyle trwa, ale każdy dzień działa na naszą niekorzyść. Uważam, że gubernator zbiera siły, dozbraja się i szykuje coś potężnego. Chciałem potwierdzić te przypuszczenia i staram się działać...

Cóż, chyba można powiedzieć, że robię to kanałami dyplomatycznymi i próbuję odwieść go od tego zamiaru.

– Zdradzisz nam może, kapitanie, co konkretnie zrobiłeś?

– Nie, kapitanie Pyne. Wolałbym, jeśli pan pozwoli, zachować to dla siebie. Daję jednak słowo, że kiedy tylko otrzymam jakieś informacje, wszystko wyjawię.

– Nie podoba mi się ta tajemniczość – mruknął Pyne. – Powinniśmy grać w otwarte karty.

– Wiem, że moje techniki nie przypadają panu do gustu. Rozumiem pańską niepewność. Proszę mi jednak zaufać.

Pyne zerkał to na Burnsa, to na drugiego niezależnego kapitana, z którym wielokrotnie współpracował i na którego wsparcie mógł liczyć. Ten podchwycił temat i rzucił:

– Biorąc pod uwagę wyczyny pańskiej załogi, zawierzenie panu nie będzie łatwe. Poszedł pan w końcu po rozum do głowy i postanowił posłużyć się kartą przetargową, którą udało się nam zdobyć?

– Kapitanie Curson – Cuthrow starał się zachować spokój – dyplomacja jest sztuką powolnego, spokojnego i rozważnego porozumiewania się celem wypracowania kompromisu oraz stanowisk zadowalających obie strony. Gdy tylko otrzymam odpowiedź od człowieka, z którym koresponduję, zawiadomię Radę o efektach negocjacji. Zaś los Benjamina Wilsona nie stanowi i nie będzie stanowił przedmiotu jakichkolwiek rozmów czy pertraktacji. Dotyczy to zarówno admiralicji, cywilnych władz brytyjskich kolonii, jak i naszej Rady.

* * *

New Providence.

13 lipca 1715 roku, sobota.

Wieczorne Nassau sprawiało senne i spokojne wrażenie. Nieliczni ludzie snuli się bez celu po ulicach. Powoli zamykano kantory, warsztaty i składy. Na targowisku pozostał już tylko

samotny marszand, próbujący oszacować wartość płócien, których pozbywał się jeden z mieszkańców. Nawet w porcie panował względny spokój, a przy nielicznych ogniskach warty trzymali jedynie strzegący obozowisk wachtowi. Tylko wokół na wpół zatopionego *The Royal James* wciąż tkwiło stado niewielkich łódek czekających, aż szkutnicy skończą kolejny dzień pracy i postanowią wrócić na ląd.

Najżywszymi miejscami o tej porze stawały się przybytki Vince'a Ravena i Mary Rose. Mniejsze działające w porcie tawerny skupiały wokół siebie klientów, którzy nie mieli siły na zabawę i pragnęli jedynie w spokoju zaspokoić pragnienie.

Obserwujący to wszystko z niewielkiego wzniesienia mężczyzna wstał i przeciągnął się, by pobudzić mięśnie. Niemal godzinę spędził oparty o pień starego drzewa, zastanawiając się, co począć. Od chwili, gdy *Silver Stag* wyszedł w morze, by dostać się na plantację Finleya, lecz zamiast wrócić do miasta z bogactwami, sprowadził do zatoki głodnych zemsty kapitanów Jonathana Wilsona, wszyscy spodziewali się brytyjskiego najazdu. Mężczyzna był jednym z nich i każdego wieczora czuł rozczarowanie. Małało ono z dnia na dzień, bardzo powoli zastępowane najzwyczajniejszym znużeniem.

Przychodził w to samo miejsce każdego dnia – rano i wieczorem. Stawał pod tym samym drzewem i próbował zrozumieć, dlaczego nic się nie działo. Widząc zakotwiczonego u wybrzeża hiszpańskiego kolosa, spodziewał się reakcji nie tylko Royal Navy, ale i jej odwiecznego, iberyjskiego wroga. Wyglądało jednak na to, że nikt nie kwapił się, by przeprowadzić natarcie na Nassau. Dodatkowo od feralnego dnia żaden z pirackich okrętów nie opuścił portu. Marynarze musieli być już praktycznie pozbawieni środków do życia, mimo to kapitanowie nie zdecydowali się na wyprawę, a w mieście dotychczas nie doszło do niczego, co przypominałoby bunt. Na wyspę regularnie zawijały tylko słupy, które przewoziły towary konieczne do dalszego funkcjonowania społeczności. Cała aktywność w przesmyku ograniczała się do ich leniwych kursów i codziennych połowów prowadzonych

przez kilka rybackich łodzi. Wszystko to sprawiało wręcz sielanekowe wrażenie, on jednak nie miał zamiaru dać wiary temu, że poniżej jego punktu obserwacyjnego panował spokój. Atmosfera musiała być napięta do granic możliwości, choć nie dało się tego zauważyć.

Uniósł do oka niewielką lunetę i zerknął raz jeszcze. Ze swojego miejsca widział nie tylko zatokę i miejskie zabudowania, ale i spory fragment błękitnego przejścia między wyspami. Po chwili wypatrzył to, na czym mu zależało – niewielką łódkę wiosłową, oświetloną od strony dziobu jedynie pojedynczą latarnią. Nowy rytuał powtarzał się dwa razy dziennie już od ponad dwóch tygodni. O świcie kilku mężczyzn przeprowało się na Hog Island, niewielką kamienistą wyspę oddzielającą Nassau od otwartego morza. Wieczorem wracali, a ich miejsce zajmowała druga zmiana. Pilnowali usypanego naprędce stosu drewna, którego zapalenie – jak podejrzewał – miało być sygnałem ostrzegającym przed dostrzeżonym zagrożeniem. Pomysł nie był nowatorski, mężczyzna słyszał, że podobne systemy stosowano już od dawna, być może nawet od zarania ludzkości. Musiał jednak przyznać, że ktokolwiek dzierżył obecnie władzę nad New Providence, starał się sprawiać wrażenie zapobiegliwego.

Jeszcze przez chwilę patrzył na morze ciągnące się za Hog Island. Zapadający zmrok skutecznie utrudniał dostrzeżenie szarego, żaglowego płótna, mimo to wołał mieć pewność, że strażnicy niczego nie przeoczyli. Za nic nie chciał stracić ewentualnego przedstawienia. Po chwili złożył lunetę i ruszył między drzewa, w głąb wyspy.

Nie miał do przebycia długiej drogi, mimo to jej przejście zawsze zajmowało mu dużo czasu. Omijał trakty wiodące do zabudowań miejscowych plantacji. Nie chciał na nikogo się natknąć i dlatego przedzierał się przez chaszczki, raz po raz przystając i nasłuchując. Uważał też, by nie zostawić zbyt wielu śladów, które mogłyby świadczyć o jego obecności, dlatego raz na kilka dni zmieniał trasę. Starannie odginał gałęzie, pozwalając im później wrócić na swoje miejsce. Nie znał się na zacieraniu

śladów, ale doświadczenie podpowiadało mu, że używane ścieżki łatwo zauważyć.

Mijając znajdujące się w głębi wyspy jezioro Killarney, sprawdził, czy coś złapało się w sidła, które wcześniej rozstawił. Jego dieta nie była wiele gorsza od tej, do której przywykł na pokładzie, szczególnie od czasu gdy zdołał ukrąść rybacką sieć. Czasem rozpościerał ją gdzieś przy brzegu wyspy, innym razem zostawiał w szałasie, ograniczając się do zastawiania wnyków tam, gdzie miejscowe zwierzęta przychodziły ugasić pragnienie.

Tym razem dopisało mu szczęście większe niż zazwyczaj. Choć nic nie zaplątało się w jego sidła, natknął się na pułapkę zastawioną przez kogoś innego – klatkę z przynętą do łapania ptaków. Wewnątrz dostrzegł na wpół przytomną ze zmęczenia i przerażenia zdziczałą kurę, zapewne uciekinierkę z którejś plantacji. Uniósł klatkę i szybkim ruchem pochwyił nielota. Ukręcił mu łeb, po czym ustawił wszystko tak, by wyglądało, jakby żadne zwierzę nawet nie zbliżyło się do tego miejsca. Rozejrzał się i pośpiesznie ruszył w dalszą drogę. Nad jeziorem kilkakrotnie widział ludzi z miasta, a nie miał ochoty na bliższe spotkanie z tym, kogo właśnie okradł.

Gdy dotarł do szałasu, było już ciemno. Odłożył zdobycz i zajął się rozpaleniem ognia. Drewno zniósł i ułożył w ciągu dnia, dzięki czemu wieczorne przygotowanie jedzenia nie zajmowało wiele czasu. Niewielka polana, otoczona stosunkowo gęstymi roślinami, dawała niezłe schronienie. Na dodatek ognisko płonęło w wykopanym wcześniej zagłębieniu, co gwarantowało, że blask płomieni pozostawał niewidoczny, póki ktoś nie znalazłby się naprawdę blisko. Wiedział, że gdyby do tego doszło, niewiele mógłby już zdziałać. Liczył jednak na to, że jeśli ktokolwiek zabłądzi w okolice jego obozowiska, zawnazadu zdradzi go hałas. Wolał nie stawać do walki, ale puszczenie wolno kogoś, kto mógłby go zdradzić, nie wchodziło w grę.

Gdy tylko ogień zaczął lizać gałęzie, zajął się oporządzeniem kury. Po krótkiej chwili kawałki mięsa znalazły się nad ogniem, a on przystąpił do realizacji planu. Nie chciał i nie mógł

dłużej czekać. Wiedział, że gdyby spodziewano się znaleźć go żywego, cała wyspa zostałaby już dawno przetrząsnęta. Do tej pory wyglądało jednak na to, że nikt nie zaprzętał sobie głowy sprawdzaniem, co się z nim stało. Nie miał nic przeciwko samotności, uznał jednak, że dłużej nie może tak żyć. Chciał przespać się w hamaku, zjeść strawę przygotowaną przez kogoś innego, napić się czegoś, co nie było wodą z jeziora, i znów poczuć kołysanie pokładu. Zemsta musiała poczekać, ale nadszedł czas, by rozpocząć nowe życie.

Usiadł wygodnie, rozkładając w dłoni brzytwę. Od czasu gdy ostatnio widziano go skaczącego z pokładu *Silver Stag*, bardzo się zmienił. Oczywiście ktoś, kto znał go dłużej, z pewnością by go zidentyfikował. Jeśli jednak wystawiono za nim list gończy ze zwyczajowym opisem, to po jego pobieżnym przeczytaniu nikt nie miałby szans rozpoznać w nim buntownika. Zrzucił sporo kilogramów, a jego ogoloną zazwyczaj twarz pokrywała dwumiesięczna broda. Pozostało jeszcze jedno. Wziął głębszy oddech i przymierzył się do ogolenia głowy na łyso.

– Trudno – mruknął. Ostatnio coraz częściej łapał się na mówieniu do siebie samego. Życie pustelnika zdecydowanie mu nie służyło. – Musisz wyglądać schludnie i inaczej, niż cię pamiętają. A jutro zaczniemy nowe życie. Jednak dobrze, że kilku plantatorów się tu ostało. Bardzo dobrze... Jutro pójdziemy do jednego z nich i spędzimy noc pod dachem, w suchym i wygodnym miejscu.

* * *

Pokład *Silver Stag*.

13 lipca 1715 roku, sobota.

Życie Johna Smitha zdawało się nierozzerwalnie związane z rozczarowaniami. Uważał, że niezależnie do tego, co planował, co chciał robić i o czym marzył, w gwiazdach zapisano mu coś innego, a przeznaczenie nie dawało się oszukać. Nawet gdy

wyglądało na to, że w końcu los się do niego uśmiechnął, po krótkiej chwili szczęścia rzeczywistość sprowadzała go na ziemię z całą brutalnością.

Jeszcze niedawno obietnica opuszczenia Anglii i udania się do Nowego Świata jawiła mu się jako największa z przygód. Szybko zorientował się jednak, że mieszkając z ojcem w jego forcie, nie zobaczy niczego, co w jakikolwiek sposób różniłoby się od znanego mu świata. Wolał odkrywać dzikie wyspy lub wziąć udział w wyprawie wojennej na jedną z hiszpańskich kolonii. Nawet dostanie się w szeregi załogi łajby – choćby i handlowej – byłoby miłą odmianą. Na jej pokładzie mógłby zwiedzić obce porty, podziwiając wszystkie te cuda, o których plotkowano w Londynie.

Gdy piraci napadli na okręt, którym przeprowadzał się wraz z matką przez Atlantyk, o mało nie umarł z przerażenia. Zrozumiał wtedy, że to, co mówiono o wyjętych spod prawa łajdakach zasługujących jedynie na spotkanie z katem, nie było wyolbrzymioną opowieścią dla dzieci, tylko prawdą – byli oni brutalnymi, nieznającymi miłosierdzia zbrodniarzami. Gdy dotarło do niego, że został sam i że nikt nie pomoże mu zdecydować, co robić dalej, zgłosił się na ochotnika i przystał do ich załogi. Bał się jak nigdy wcześniej, ale podejrzewał, że stanięcie z nimi w jednym szeregu może uratować mu życie. Atakowali w końcu jednostki, które pływały pod królewskimi banderami lub operowały w imieniu kompanii handlowych, lecz nie walczyli przeciwko sobie.

Gdy minęło pierwsze przerażenie, zaczął czuć się w ich towarzystwie jak pośród londyńskich zbrojnych. Dobrze poznał koszary i tamtejsze życie – ojciec zwykł zostawiać go tam pod opieką znajomego oficera, gdy sam załatwiał ważne sprawy w urzędach. Jako chłopak nienawidził spędzonych w zimnych komnatach godzin, teraz błogosławił starego sierżanta, który dawał mu lekcje fechtunku.

Przez chwilę żył nadzieją, że szybko stanie się równoprawnym członkiem załogi, zostanie wysłany na reje, otrzyma broń i weźmie udział w walce. Okazało się jednak, że cały czas na

pokładzie spędził, szorując deski, opróżniając wiadra z nieczystościami i pomagając tylko w najprostszych czynnościach. Najwyraźniej mimo wszystkich jego starań uznano, że nie nadawał się na załoganta.

Dopiero Nassau, do którego w końcu dotarł, nie odbiegało od wyobrażeń, jakimi cały czas żył. Oceniał, choć sam nie wiedział, na jakiej podstawie, że w tym małym miasteczku było więcej dziwek niż w całym Londynie i że pito tam więcej rumu niż wypijano cherry w Essexie i Kent razem wziętych. Mimo to New Providence bardzo mu się spodobało. Pogoda odpowiadała relacjom marynarzy, a po tej, jakiej doświadczał w Anglii, wydawała mu się najwspanialszą na świecie. Zachwycała go przejrzystość wody, różnorodność roślin i typów ludzkich, na jakie natykał się na ulicach. Jedynym, o czym marzył, było móc częściej przechadzać się po mieście, zaglądać do wyszynków i rozmawiać z ludźmi, którzy znali niezliczone legendy.

Historie, które latami chłonał i zawsze brał za najświętszą prawdę, pchnęły go do odnalezienia kapitana Cuthrowa i błagania o możliwość dołączenia do jego załogi. Jeśli ojciec opisywał tego człowieka jako uczciwego, pobożnego i godnego zaufania – tak właśnie musiało być. Od urodzenia karmiony opowieściami o wielkich marynarzach, o wyprawach Johna Hawkinsa, Francisa Drake'a i Henry'ego Morgana, o odkryciach Kolumba czy Vasco da Gamy, młody Smith chciał choć zakosztować ich życia i sławy. Gdy kapitan zgodził się z nim porozmawiać, John podejrzewał, że los w końcu postanowił się do niego uśmiechnąć. Ziściło się jedno z jego wielkich marzeń – poznał człowieka, którego czyny miały być wspominane jeszcze długo po jego śmierci. Gdy Burns przyjął go do załogi, chłopak czuł się szczęśliwy i wyróżniony. Tego samego dnia przeprawił się na pokład *Silver Stag*, oprowadzono go po brygu, w skrócie przedstawiono panujące na nim obyczaje oraz prawa, po czym polecono udać się na spoczynek.

Rano magia wieczornego spotkania prysła. Jak zawsze, gdy już zdawało mu się, że jego życie w końcu się odmieni, zde-rzył się z rzeczywistością. Zbudziło go szarpanie za ramię,

a gdy otworzył oczy, ujrzał czarnoskórego wielkoluda. Mężczyzna zawlókł go do kambuza, przydzielił prace i wyjaśnił, że od dziś będzie musiał pełnić obowiązki godne podkuchennej. To, że okręt stał na kotwicy, nie oznaczało, że ludzie mieli chodzić głodni, a warzywa – jak łaskawie poinformował go kuk – nie miały w zwyczaju same się obierać.

Smith początkowo zamierzał protestować, przypomniał sobie jednak, że kapitan wyraził się jasno co do miejsca, jakie mu przydzielił. Pamiętał też, że było to jego ostatnie w tej kwestii słowo i że odmowa wykonania polecenia oznaczała bunt. Co za to groziło, wiedział już wcześniej.

John świetnie rozumiał, że by awansować – na co od początku liczył – powinien okazać posłuszeństwo, wierność i oddanie, a na koniec dowieść swojej wartości i bohaterstwa. Wszystkie morskie legendy, które kiedykolwiek usłyszał, właśnie o tym mówiły. Nikt nie przekazał mu, że pozostaje na pokładzie dla własnego bezpieczeństwa ani że Burns jako rzecz priorytetową traktował konieczność przekazania go pod opiekę ojca.

Czas, który upłynął, od kiedy przyjęto go do załogi, spędzał na pokładzie lub na plaży, gdzie pod bacznym okiem panów Slighta i Adamsa zajmował się najnudniejszymi rzeczami, jakie mógł sobie tylko wyobrazić. Solił mięso, suszył je na słońcu, sprawiał i wędził ryby, obierał coraz bardziej znieawidzone warzywa. Z rzadka pomagał przygotowywać strawę dla skutników i wachtowych, zupełnie jakby jego mistrz i nauczyciel bał się dopuścić go bliżej ogniska.

Po kilku tygodniach zyskał dość zaufania Slighta, by ten pozwolił mu samodzielnie wracać z przygotowanym zaopatrzeniem na pokład i rozkładać je w spiżarniach. W końcu postanowił wykorzystać brak kontroli i bardzo dokładnie zapoznał się z topografią brygu. Wymagało to nie lada odwagi i zdolności przemykania między strażnikami, której szczęśliwie nabrał w dzieciństwie, gdy wielokrotnie uciekał przed opiekunką najętą przez rodziców. W kilka dni zdążył zajrzeć w każdy kąt, zapamiętał wszystkie skrytki i schowki, sprawdził każde przejście

i miejsce, w którym mógł się w razie czego ukryć. Po kilku dniach potrafił poruszać się po *Silver Stag* nie gorzej niż służący na nim od lat mężczyźni.

Wieczorami przesiadywał na pokładzie, schodząc pod niego dopiero po zapadnięciu zmroku. Cieszyło go świeże powietrze i choć wolał spędzać więcej czasu pod gwiazdami, załoganci wyjaśnili mu w szorstkich słowach, że przestrzeń między masztami nie służy do drzemek.

Szybko zorientował się też, że choć pan Slight sprawiał wrażenie człowieka groźnego, srogiego i, co ważne, nadzwyczaj spostrzegawczego, wcale nie tak trudno było ukryć przed nim drobne występki. Wychowany w zamożnej, londyńskiej rodzinie, w której od najmłodszych lat wymagano od niego zachowania godnego przedstawiciela znamienitego rodu, młody Smith czuł podniecenie na myśl o najdrobniejszym nawet nieposłuszeństwie. W krótkim czasie odkrył, które sygnały oznaczają zmianę warty i co ile szklanek do niej dochodzi. Hamak, który służył mu za łóżko, znajdował się blisko kambuza, a jedyną osobą, która mogła go w nocy kontrolować, był jego przełożony. Kuk spał jednak bardzo głęboko i zdawało się, że żaden hałas nie mógł go zbudzić, a już z pewnością nie skrzypienie lin ani trzeszczenie drewna. Dlatego John niemal co noc czekał, aż nowi wachtowi obejmą stanowiska. Zajmowało ich wówczas co innego niż patrzeć w wodę okalającą łajbę. Wykorzystując to, wymykał się przez jedną z furt działowych na zewnątrz i po trapie burtowym schodził wprost do wody. Po kilku minutach mokry, ale zadowolony stawał na plaży New Providence, gotów na wszystko, co mogła przynieść noc. Liczyła się przygoda i to, by na czas wrócić na pokład.

*Because the old black rum's got a hold on me,
like a dog wrapped round my leg.
And the old black rum's got a hold on me,
will I live for another day?
Hey, will I live for another day?*

The Old Black Rum, Great Big Sea

Rozdział II

**New Providence, Nassau.
14 lipca 1715 roku, niedziela.**

W głównej sali burdelu Mary Rose panowały spokój i cisza. W takim miejscu okolice południa były najodpowiedniejszą porą do prowadzenia dyskretnych rozmów i dobijania interesów. Podopieczne burdelmamy krzątały się po sali, starając się wyglądać na zapracowane. Nieśpiesznie zlewały do dzbanów niedopite trunki, zbierały kubki i kufle, zamiatały podłogę, sprząając potłuczone naczynia. Wyproszono już klientów, którzy zabawili u dziewczyn całą noc, a do przyjscia nowych zostało jeszcze kilka godzin.

Jedna z dziwek, Agnes, siedziała za szynkwasem i uzupełniała księgę informacjami o opróżnionych butelkach i beczkach. Grace, z którą Agnes coraz bardziej się zżywała, sporządzała listę najpilniej potrzebnych towarów. Od ostatniej wyprawy kapitanów zaprzyjaźnionych z Mary Rose minęło sporo czasu, a niemający wiele do roboty marynarze spędzali wieczory w towarzystwie

kobiet, żądając, by co rusz im polewać. Zapasy szybko topniały i półki w piwniczce wyglądały coraz biedniej.

Obserwujący ich pracę Benjamin Wilson nie mógł wyjść z podziwu wobec przedsiębiorczej córki wyzwolenca. Do tej pory zdawało mu się, że choć opieka nad prostytutkami tradycyjnie należała do kobiecych zadań, prowadzenie podobnego przybytku bez pomocy męskiej ręki nie mogło się udać. Widział w swoim życiu wiele lupanarów i w każdym z nich to oni zarządzali nieruchomościami, decydowali o remontach, prowadzili księgi rachunkowe, pilnowali zaopatrzenia czy wreszcie strzegli porządku. Tu zdecydowaną większość zatrudnionych stanowiły dziewczyny. Towarzyszyło im ledwie kilku najemników opłacanych przez Cuthrowa i paru wyzwolenców, którzy zarządzili w kuchni i zajmowali się rozładunkiem towarów, o ile oczywiście jakiegokolwiek dotarły na miejsce.

„W Nassau wszystko stoi na głowie” – pomyślał. – „Córka niewolnika trzyma w szachu pół wyspy, a dawni oficerowie Royal Navy jedzą jej z ręki i robią, co im każe. Na dodatek dziwki zmieniają się w buchalterów, a mężczyźni siedzą przy garach”.

Choć Wilson spędzał sporo czasu pośród załogi, to właśnie lupanar, a nie obozowisko ludzi z *Silver Stag*, stał się jego domem. Od przybycia na wyspę mieszkał w pokoju przyległym do tego, w którym Burns dochodził do siebie, był częstym gościem w kuchni, kilka razy pomagał też wyrzucić za drzwi przybytku zbyt natarczywych lub splukanych marynarzy. Dzięki temu zdążył poznać już wszystkich pracujących dla Mary Rose ludzi. Wszystkich, poza kilkoma, którzy zdawali się pojawiać na miejscu sporadycznie – przychodzili w interesach lub, jak się zdawało, gdy ich wzywano. Zamierzał podpytać o nich kobietę, chciał dowiedzieć się więcej szczególnie o dwóch młodzieńcach przemykających chyłkiem do pokoi na piętrze.

– Spokojnie się jest i cicho... Całkiem miło się jest – odezwał się nagle Jacob ibn Adam, wrywając Wilsona z zamyślenia.

– Nie da się ukryć – odparł siedzący naprzeciw swego doradcy Timothy Cuthrow. Zerknął na Żyda, ciągle nie mogąc wyjść ze

zdumienia. Spodziewał się, że mężczyzna, bądź co bądź władający już kilkoma językami, szybko doszlifuje także angielski. Teraz coraz częściej zastanawiał się, czy pozostałymi władał lepiej, czy może też wszystkie kaleczył w podobny sposób. Oczywiście nie mógł odmówić mu postępów, Żyd posługiwał się coraz bogatszym słownictwem, jednak gramatyka najwyraźniej nadal miała przed nim wiele tajemnic. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że dodawało to mężczyźnie specyficznego uroku. Zaczynał nawet podejrzewać, że to właśnie pod jego wpływem kontrahenci, z którymi dobijał targu, zawsze proponowali mu zaskakująco korzystne ceny.

– Cóż, panie Adams, nie licząc incydentu, w który zamieszani byli ci głupcy, kapitanowie mego ojca, New Providence rzeczywiście jawić się może jako miejsce dość spokojne, choć nieco dziwne – dodał Wilson.

– Pozory, Ben. To tylko pozory. Zresztą pan Adams zapewne nie miał na myśli tego, co dzieje się na wyspie, lecz to, że jesteśmy sami w miejscu, w którym kilka godzin temu nie znaleźlibyśmy wolnego krzesła.

– Kapitan ma się rację. Spokojnie się jest tu i teraz. Ale miasto się zagotowuje.

– Wrze – odpowiedział Cuthrow. Podrzucanie Jacobowi brakujących słów weszło mu w krew.

– Zrozumiałem, co pan Adams miał na myśli. Atmosfera rzeczywiście jest dość napięta, ale na razie ucierpiały jedynie nasze nerwy. To spokojne miejsce i to się raczej nie zmieni.

– Znaczy się, najazdowania się nie będzie? Pomyśleć się ciężko, że marynarze nam darowują.

– Nie wierzę, by Hamilton miał zamiar sobie odpuścić, ale myślę, że najpierw ograniczy się do dyplomacji – odparł Wilson.

– Mógł przypuścić szybki atak zaraz po porażce, ale z jakichś powodów tego nie zrobił. Podejrzewam, że nie zależy mu wyłącznie na rozbiciu nas, ale przede wszystkim na przejęciu kontroli politycznej, a takie rzeczy zawsze wymagają sporo czasu. Siedzi pewnie teraz w tym swoim gabinecie i pisze list za listem.

– Sugeruje Whitehall kandydata na gubernatora, a przy okazji zbiera na nas większe siły? To samo tłumaczyłem ostatnio Radzie.

Benjamin rozlał do kubków resztki z butelki i odpowiedział, starannie dobierając słowa:

– Ja na jego miejscu tak właśnie bym postąpił. Dobrze wiesz, że admiralicja nie dopuszcza do wysokich stanowisk ludzi nie-doświadczonych. To zaradni, zdolni i sprawni marynarze, dla których stoczenie niespodziewanej walki nie powinno być problemem. To, że spośród czterech kapitanów, którzy mieli cię znaleźć i doprowadzić przed oblicze kata, wrócił jeden, musiało bardzo zabołeć Hamiltona. Ale wydaje mi się, że on nie należy do ludzi, którzy takie rzeczy próbują zatuszować, choć muszę przyznać, że nie zdążyłem dobrze go poznać. On raczej nie uważa, że jego reputacja ucierpi, jeśli sprawa ujrzy światło dzienne. Raczej zacznie zalewać innych gubernatorów i Londyn prośbami o wsparcie, niż samodzielnie poszuka rozwiązania problemu. Opíše wszystko w odpowiedni sposób, doda kilka słów o przeważających siłach, oceni nasze możliwości, jakbyśmy dysponowali Wielką Armadą, i doprowadzi do tego, że zjawi się tu ich pięciu albo i sześciu na jednego z naszych.

– To niehonorowe jest się... Takie siły?

– Dla niego punktem honoru – wyjaśnił Benjamin, obracając w dłoniach butelkę – jest definitywne zakończenie sprawy Timothy'ego, a nie to, żeby zrobić to samodzielnie, bez pomocy z zewnątrz. Przyznanie się do tego, że potrzebuje się wsparcia, nie dowodzi słabości. Dla niego to dowód na to, z jak silnym wrogiem musi sobie poradzić, i na to, że zaprowadza porządek w zdeprawowanym zakątku świata, nie licząc się z kosztami. Nikt nie miał odwagi się tego podjąć. Jeśli powie, że potrzebne mu takie siły, dostanie je. Może nie dziś, nie jutro, ale w końcu do tego dojdzie.

Adams wsłuchiwał się w słowa Benjaminą. Burns znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że mężczyzna coraz bardziej zaczynał się bać. Pozwolił jednak kompanowi kontynuować, uważając,